Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Na ciągu. — Żyrzyn. Fot. Konstanty Komierowski.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

Nr. 17 (672) 23 KWIETNIA 1932 R.

O DOKŁADNY ADRES.

Sz. P. Prenumeratorów prosimy o dokładne podawanie nam adresów. Adres ma zawierać: imię, nazwisko, miejscowość, pocztę i województwo (powiat zbyteczny).

Prenumeratę wysyłać najlepiej na konto czekowe w P. K. O. Nr. 80-82.



Na cietrzewie z budki. — Bielska Wola. Fot. M. Załęska.

JESZCZE W SPRAWIE REZERWATÓW.

(Odnośnie wymiany zdań red. Garczyńskiego z prof. Domaniewskim).

Pod wielu względami solidaryzuję się najzupełniej z wywodami Szanownego Redaktora naszego pisma.

Istotnie, poczynając od tego, że opinja o pewnej nieudolności sfer myśliwskich w zagadnieniach gospodarczo - łowieckich — i potrzebie powołania, wobec tego kompetentniejszych czynników — jest, według mego zdania, mocno przesadzona i poniekąd krzywdząca dla nas, rycerzy z pod zielonego sztandaru.

Bo, zaprawdę, — jeśliby chodziło li tylko o pojedyńczych myśliwych—to przecież występująca w podobnym charakterze jednostka już przez sam fakt wydzierżawienia znacznego obszaru winna ipso jure — należeć do kulturalnej odmiany naszego bractwa.

Żadne nadleśnictwo państwowe, oczywiście nie zgodzi się przenigdy przyjąć jako kontrahenta — na poważniejszy swój terenowy objekt łowiecki osoby, któraby mogłaby być posądzona o brakonierskie inklinacje, lub chociażby o podleganie tak trafnie przez moskali zwanemu „szkurjatniczestwu" (dosłownie — skórnictwu) — powiem więcej — należącą do niewstrzęmięźliwej kategorji nawet.

Tembardziej, mamy pełną gwarancję przestrzegania wszelkich wymogów zachowania zanikających lub rzadkich gatunków kiedy to — jak słusznie Sz. Autor artykułu w Nr. 9 „Łowca Polskiego" zaznacza — mamy do czynienia z towarzystwami myśliwskiemi.

Wspaniałe rezultaty szalonej poprostu rozmnoży głuszców, znaczne podniesienie się ilości łosi, nie mówiąc o dzikach, cietrzewiach, jarząbkach i innej zwierzynie na terenach Poleskiego i Wileńskiego Towarzystw Łowieckich, Koła Miłośników Łowiectwa i tylu innych — najlepszym i niezbitym są tego dowodem.

Wypowiedziane przez p. prof. Domaniewskiego zdanie o „jedynie najintensywniejszym odstrzale" — który stanowi zawsze upragniony dezyderat czcicieli Św. Huberta jest zupełnie słusznem, ale — powtórzę znowu — stosować się może do konfraterni kłusowników, a przenigdy — prawdziwych myśliwych.

Albowiem każdy z nas „uświadomionych łowców"— doskonale zdaje sobie sprawę, że „nie posiejesz—nie zbierzesz" — nie zatroszczymy się o rozwój i byt miłych objektów naszych venatorskich radości — w wyniku dojdziemy do kompletnego zera — do redukcji — o której żadne ministerstwo „marzyć" nawet się nie odważy!

Bo, jak mówią starzy ludzie „ksiądz żyje z ołtarza— pisarz z kałamarza", a ja dodałbym jeszcze: „laikpudlarz — ze strzelania, a myśliwy zawsze i wszędzie — z ochraniania"!

Nie przemawia bynajmniej przezemnie czcza fra-

zeologja — korporacyjna czułostkowość starego romantyka łowiectwa.

Zbliżając się już do siódmego krzyżyka na tym płaczu padole, doszedłem dobitnie do przekonania o wysokim poziomie naszego narodu pod względem etyki i pojęć łowieckich.

Są oczywiście pewne luki, pewne braki kulturalności, szczególnie odnośnie należytego zrozumienia doniosłości niektórych czynników, naprzykład znaczenia prasy łowieckiej i stałego, jak dotąd podtrzymywania swoich organów myśliwskich; mogą się też znaleźć i inne usterki.

Ale jeśli natomiast pewien odsetek śród nas grzeszy w tej lub innej dziedzinie, jak za to elita — czy to w formie stowarzyszeń, kółek, czy też pojedyńczych hodowców, odznacza się zaiste nieraz zdumiewającą sprężystoscą w swych nieustannych zabiegach i troskach o ciągłe podnoszenie się rodzimych zwierzostanów.

Przecież Wielkopolska, Małopolska i była Kongresówka, doszły pod tym względem do etatów przedwojennych. A w wielu wypadkach prześcignęły je.

Nie mówię już pionjerach kresów dalekich.

Chyba że tereny ordynacyj: dawidgródeckiej i nieświeskiej, Poleskiego, Nadniemeńskiego i tylu innych kółek i towarzystw pod względem liczby odradzających się łosi, bajecznego obecnie stanu głuszców — najlepszym są dowodem rezultatów tej intensywnej pracy!

Obojętności łowieckiej, braku nieustannej troski wobec bieżących zagadnień — stanowczo nie można zarzucić tym, co przodują w kulcie Św. Huberta!

A, że nie odrazu Rzym i Kraków zbudowano, że pewien odłam jeszcze nie zrozumiał całej doniosłości kwestyj i spraw, z polskiem łowiectwem związanych, to, przekonany jestem, stopniowo coraz więcej zdrowe zasady przenikać będą w coraz to szersze kręgi naszej braci polującej.

Tembardziej, że mówiąc Bogiem a prawdą — dopiero, od lat kilku mamy ustawę łowiecką, której, pomimo niektórych defektów, zagranica nam zazdrości.

Jednakże, nie zważając na to, nawet, kiedy to jeszcze, bez wszelkiej można powiedzieć, pomocy prawnej brodziliśmy samopas, borykając się ze skutkami ogólnego rozprężenia powojennego, już i natenczas ileż to zdołaliśmy dokonać i zmodyfikować na tem polu hodowlanem.

Nie, stanowczo, według mnie, polskim myśliwym można śmiało zaufać i to zawsze i wszędzie.

Polegać na nich — zawsze, jak na Zawiszy.

Złożyli oni na to i składają codziennie niejeden niezbity dowód.

* * *

O ile mowa, jak mówi nasz Redaktor, o florze, powiedziałbym jeszcze o zachowaniu estetyki wyglądu niektórych zakątków, w całej ich pierwotności — to, i owszem.

Niech miarodajne czynniki (nie myśliwi) mają je pod swoją pieczą pod kątem widzenia naukowym ale łowiectwo na nich winno zawsze znajdować się pod opieką li tylko myśliwych.

Bo, nawiasem mówiąc, istotnie nawet w zagadnieniach, które zdawałoby się są proste, jak dwa razy dwa cztery — wykrzyknik Kiplinga o pokorze całkowicie może być zastosowany.

Powiedzmy: osuszanie bagien z zamianą moczarów w kwieciste łąki i żyzne łany zbożowe — piękną jest i niezawodnie zbawienną wielce operacją w teorji, nieprawdaż?

Jednakże w praktyce sam nieraz widziałem na Polesiu, jeszcze nawet w czasach przedwojennych, jak właściciele błot obszernych szczerze radowali się kiedy to, po przeprowadzeniu sieci kanałów na zabagnionych terenach, osiągali bajeczne zbiory siana najlepszego gatunku.

Niestety! — krótkotrwałą była ta uciecha.

Po paru latach poczynały katastrofalnie owe egipskie pokosy spadać, zatrważająco kurczyć się, a po kilku latach, o zgrozo! ci sami obszarnicy byli już zmuszeni znowu tracić tysiące, ale już nie na odbagnianie, a — ironja losu! — na sztuczne budowanie zastawek na kanałach.

W upalne dni kwieciste łąki aż kurzyły się od torfowego pyłu. Piękne wyniki meljoracji, nieprawdaż?

Mogę zawsze służyć konkretnemi wiadomościami, gdzie i kiedy to się działo.

Co może być zbawiennem na geologicznych podkładach gleby Ukrainy, czy innego Podola, absolutnie nie da się zastować na Polesiu.

Zresztą, pomimo wysoce uczonych referatów i prac w tej dziedzinie, zapominamy trochę, że całkowity basen Prypeci z jej dopływami niestety nie do nas tylko należy.

Nie łatwo na skutek tego skoordynować owe gigantyczne prace, wątpię też bardzo, żeby, mając do czynienia z naszym wschodnim sąsiadem, udało się plany te urzeczywistnić. Niemało w Sowietach i bez tego innych kłopotów na głowie.

A więc wyniki mogą okazać się zgoła niesamowite i niespodziewane.

Nie mówiąc o tem, że mądrość wszechstworza już nie raz uczyła nas, że puszcza jest wielka, a my mali.

Co się tyczy ukrytych w niej zwierzostanów, te o jedno proszą, o umożliwienie im normalnego odbycia lęgów i o byle jaki spokój w ciągu sezonu lęgowego. A podobne warunki jedynie zrzeszenie myśliwskie, albo rzetelna dusza myśliwska indywidualnie — wytworzyć zdołają.

Bo żaden „książę nauki", żadne konsorcjum przyrodnicze, nie może tak ściśle być związane z bytowaniem, a szczególnie z rozmnożą objektów uciech venatorskich, jak brać nasza, której, chociażby z pobudek egoistycznych, zależy na rojeniu się terenów, od największej na nich ilości ptactwa i zwierza wszelkiego.

Gdyż smutnym musi być nasz los w opustoszałych, gołych rewirach.

Z powodu systematycznie kurczących się ogromnych połaci lasów i błot, gwoli potrzebom reformy rolnej, komasacji, scalenia gruntów, zamiany serwitutów — oczywistą jest konieczność utworzenia chociażby zakątków, na którychby cechy pierwotnych mateczników zachowanemi pozostały.

Dla tej to racji utworzenie jak największej ilości rezerwatów jest pożądane. Ale, co się tyczy gospodarki łowieckiej na nich, to nikt od nas myśliwych lepiej tego nie zrobi.

* * *

Reasumując, winniśmy się cieszyć i być wdzięcznymi tym, co rzucają hasła konserwatyzmu pod względem opieki nad zachowaniem pamiętników i całego piękna przyrody w całej jej pierwotnej krasie.

Albowiem oni to walczą o ochronę warunków dla rozwoju i możliwości bytowania rzadkich odmian i gatunków.

Natomiast kustodję nad losem zasiedlających je dzikich tworów można i należy powierzyć nam, venatorom--hodowcom.

Z podobnej współpracy wyniknąć mogą li tylko zbawienne skutki, gdyż w zjednoczeniu tkwi zawsze siła.

Zwrot, ku któremu i my, i bracia nasi, przyrodnicy, tak gorąco dążymy i którego całem sercem pragniemy.

Oby Św. Hubert błogosławił we wdzięcznej i zbożnej pracy nawrotu do puszczańskich splendorów mickiewiczowskich fragmentów.

Im więcej będzie się o tem pisało i mówiło, tem lepiej. Za słowami bowiem zwykle następują czyny. A w tem leży istota spraw wszelkich, zawsze, we wszystkich zagadnieniach.

ADAM RZEWUSKI.



FRAGMENTY.

(Ciąg dalszy.)

Roku Pańskiego 192... wiosna na Polesiu, niczem piękna niewiasta, była niestała i kapryśna. Wcześnie rozpoczęła zwycięski swój pochód w glorji ciepła i blasku, aby następnie skryć się na kilka tygodni w zwały ciężkich ołowianych chmur, w hulaszcze harce wichrów, w pędzone w zawrotnym tańcu potoki lodowatego dżdżu naprzemian ze smugami kłębiących się śnieżynek, boleśnie smagających, niby ogromną płachtą, najeżoną tysiącem kąśliwych, drobniutkich ostrz, w przenikliwe wiatry, dmące bez przerwy i bez wytchnienia w jasne dni i w gwiaździste noce, jakby na urągowisko słońcu i gwiazdom. Rozkołysane przewlekłą wichurą bory, przepełnione jękiem i żałosną skargą umęczonych drzew, trzaskiem łamiących się zeschłych ramion-gałęzi i gniewnym bulgotem zwykle spokojnych, obecnie rozzłoszczonych długotrwałemi igraszkami wiatrów, leśnych jezior, nie nadawały się narazie do igrzysk weselnych, a zniechęcone kaprysami wiosny, ostudzone w swych zapałach miłosnych, leśne ptactwo przerwało rozpoczęte toki i uporczywie milczało. W końcu kwietnia, jak gdyby nic, znowu zjawiła się wszechwładna bogini. Pogodna, uśmiechnięta, dobrotliwe roztaczająca dokoła urocze czady, z każdym dniem, z każdą godziną stroiła naturę w coraz to piękniejsze szaty i sączyła w krew żyjących istot coraz bardziej potęgujący się żar, coraz to bardziej władny tajemniczy zew. Obudziły się, ożyły leśne ostępy, wodne ustronia, łąki i pola. Chóralna pieśń tysięcy głosów, sławiących cud ziszczenia namiętnych pragnień i wieczną młodość życia, potęgą dźwięków swych głosiła światu potęgę sił rozrodczych.

W ostatnich dniach kwietnia i pierwszych maja gościłem w Smołodówce. Poranki spędzałem na tokach, względnie w zacisznych zakątkach stawów z krekuchą po wczesnem zakończeniu toków głuszcowych dni — w wesołych pogawędkach z zawsze licznem gronem wyjątkowo miłych pań, lub na przenoszeniu się do bardziej odległych, obcych Smołodówce terenów, na których posiadałem prawo polowania; wieczory — na ciągach słonek, a noce... noce — w oczekiwaniu zawsze młodych i zawsze nowych emocji, w drodze do miejsca zboru, w fachowych rozmowach na punkcie wyjścia — budy, skleconej z gałęzi, dla „obsadczyków", w pojeniu się pięknem tak zda się dobrze zanych, a jednak za każdym razem odrębnych widoków. Przy płonącem, u wejścia do budy, krwawą łuną ognisku, z cichem potrzaskiwaniem, rzucającem maluśkie złote gwiazdki iskier, lub kładącem na podnóża pogrążonych w mrocznej zadumie, czy w mocnem uśpieniu wysokopiennych drzew, drgające życiem, fantastyczne odblaski, dotykając żarzących się głowni przemoczonemi, kurzącemi się od gorąca łapciami, spali pokotem, przykryci baraniemi kożuchami, trzej starzy „obsadczycy" ze wsi Maniewicz, liczący sobie „w kupie" coś około dwustu lat wieku: przebiegły, chytry, jak lis, i niepewny Bałaj, stateczny i solidny Arseń, oraz największy adorator alkoholu, lecz zarazem i najlepszy znawca myślistwa, specjalista od wyrabiania wabików na jarząbki — Semen, dziś niestety, już spoczywający snem wiecznym, wtrącony do grobu używaniem nad miarę ulubionej wódki. Zbudzeni przez Zawadzkiego, nie śpiesząc, podnosili się, podciągali rozluźnione „wołoki" przy łapciach, „wdiahałysia" ubierali się, co oznaczało mocniejsze opasanie się kawałkami

sznura i wzięcie do rąk zakrzywionych kijów) i składali, jeden po drugim, sprawozdanie o podsłuchanych i obsadzonych głuszcach, potem zaś następowała narada, jaką drogą będzie najlepiej podchodzić i który z głuszców jest pewniejszy.

Kiedy i jak się spało w takie noce, brzemienne przygodą, niepowszednim czarem otoczenia i nieznanem mieszczuchom odczuciem piękna, pogrążonego w twardym śnie boru, wtargnięcie do którego gromadki drapieżnych ludzi jakby jeszcze bardziej podkreśla moc i konieczność uśpienia, aż do czasu, nakazanego niezłomnem prawem natury? — nie potrafię określić. Wiem tylko, że ile bym czasu nie spędzał na wiosennych łowach, nigdy więcej ponad dwie godziny na dobę nie traciłem na sen i... jakoś to mi dotychczas wcale nieźle służy.

Korzystając z dogodnych środków lokomocji, zahaczyłem o Jezioreckie leśnictwo, gdzie tok głuszcowy zawiódł, a zdobycz ograniczyła się osiągnięciem pięciu słonek, odwiedziłem Karasińskie rewiry, z których ściągnąłem doroczny haracz wiosenny w głuszcu, cietrzewiach i słonkach, resztę zaś mego czasu spędziłem na opolowaniu wyłącznie terenów p. Antoniego B. Odstrzeliłem dwa głuszce, a trzeciego, który dla ścisłości był pierwszym w liczbie porządkowej, zmarnowałem haniebnie. Stało się to przy następujących okolicznościach:

Stosownie do propozycji p. Antoniego, niezwłocznie po zastrzeleniu głuszca mieliśmy zamiar przejść do pobliskich stawów i zapolować na kaczory. Zawadzki zawczasu przygotował ukrycia i winien był oczekiwać z krekuchami na nasze przybycie. Licząc na strzały do kaczorów, włożyłem do kieszeni kilka nabojów Nr. 4. Do głuszca, obsadzonego w Ranieckiem bagnie, prowadził mnie Arseń, panu Antoniemu służył głuszcem Semen. Ruszyliśmy każdy w swoją stronę i ze swym pomocnikiem. Noc była księżycowa, cicha i ciepła. Przeszliśmy z Arseniem przez wysoki las, u skraju którego zatrzymał się mój przewodnik, twierdząc, że głuszec zapadł z wieczora gdzieś w pobliżu. Usiedliśmy z zamiarem doczekania się pieśni. Przedranne, lekkie ochłodzenie pokryło ziemię nieznacznym szronem. Rozejrzałem się w terenie. Zwarta ściana niskiej sosnowej i świerkowej drągowiny, rosnącej po brzegach bagna, była oddzielona od wysokiego lasu wąską wysepką wrzosów, na której w odległości może trzydziestu metrów od miejsca naszego przystanku, wznosiła się samotna sosna, prawie zupełnie ogołocona z igliwia. Szerokość wysepki nie przekraczała miary czterdziestu metrów. Zamieniłem z Arseniem parę zdań i chciałem podnieść się na nogi, gdy z prawej od nas strony zerwał się głuszec, spadł na wysepkę i bez żadnych ceregieli zaczął tokować na ziemi. Jak opętany przebiegał obok nas w odległości kilkunastu kroków, bił skrzydłami, podskakiwał, rozzłoszczony indor, syczał, jak wąż, zawracał z powrotem, niezmordowanie kontynuując swój taniec tokowy... „Strelajte" (strzelaj pan) westchnął nad mem uchem Arseń. Broń miałem jeszcze nie nabitą, a w dodatku nie lubię strzelać do głuszców, tokujących pod nogami, a nie nad głową. Jakby dla ułatwienia mi strzału, porwał się głuszec, opadł na samotną sosnę i, wyrysowując się świetnie w smudze księżycowego światła, zaczął odrabiać pieśni, według wszelkich wymagań sztuki grania. W parę sekund byłem na nogach i nabiłem broń; następne sekundy straciłem na przebieg przestrzeni do skraju wysepki i... huknął strzał. Strzelony głuszec poderwał się do góry, a następnie runął w drągowinę, z łoskotem uderzając o ziemię. „Hotow" (gotowy) — oświadczył Arseń i wyruszył po zdobycz. Zapaliłem papierosa i czekałem. Szukał Arseń, szukał, wreszcie poprosił o latarkę. Na nieszczęście oddałem ją Zawadzkiemu. Pośpieszyłem dopomóc w poszukiwaniach. Zdawało mi się, że kierunek, obrany przez Arsenia w poszukiwaniach, odprowadza go w lewo od miejsca, gdzie według mego mniemania spadł głuszec. Jednak i moje usilne wysiłki odszukania zdobyczy w gąszczy drągowiny nie odniosły skutku: głuszec wpadł jak w wodę. Usiadłem na pieńku, który mi się w pobliżu podwinął i zawołałem sapiącego i mruczącego Arsenia. Postanowiliśmy zaniechać szukania i wyruszyć do miejsca zapadu drugiego głuszca. Rzuciłem zgaszony niedopałek papierosa i wyszliśmy z drągowiny. „Wizmiem szcze druhoho, a cioho najdemo, jak rozwydnecia" (weźmiemy jeszcze drugiego, a tego znajdziemy, gdy się rozwidni) — pocieszał Arseń. „Druhoho" (drugiego) nie wzięliśmy z powodu wręcz niezwykłego. Grał po mistrzowsku w gąszczu niewysokich świerków, o parę metrów nad ziemią. Z trzech stron podchodziłem do niego literalnie na długość paru metrów i tylko z tej odległości można go było ujrzeć i strzelić. Ktoby jednak z myśliwych zdecydował się na strzał do takiego straceńca i w takich okolicznościach? — pozostawiłem go w spokoju i wycofałem się bez strzału. Z oddali echo przyniosło odgłos stłumionego strzału, to p. Antoni zrobił swoje. Rozwidniło się na dobre. Przyszedł od stawów Zawadzki. We trójkę poszliśmy szukać zguby. Arseń twierdził, że głuszca należy szukać na lewo od sosny, na której był strzelony, ja zaś byłem pewny, że spadał na prawo; „szukajmy ławą", zawyrokował Zawadzki, „ja będę szukał środkiem". Od miejsca strzału rozeszliśmy się ławą o dziesięć kroków jeden od drugiego i równając się z Zawadzkim, który obrał kierunek wprost na sosnę, weszliśmy w drągowinę. Po paru krokach zauważyliśmy zrywającego się wprawo ode mnie głuszca, który poderwał się jakoś bez zwykłego łomotu i zadziwiająco blisko. Podrzuciłem broń; „to drugi" krzyknął Zawadzki i okrzykiem tym powstrzymał mnie od strzału. Nisko lecąc nad ziemią między drzewami głuszec minął nas po linji i znikł w głębi bagna. Okazało się, że nie był to „drugi", lecz ten, któregośmy szukali. Po strzale spadł akurat obok pieńka, na którym siedziałem po pierwszem nieudanem szukaniu, odbił się i potoczył o metr najwyżej i leżał w kałuży krwi tuż obok rzuconego przeze mnie niedopałka papierosa. Na pokrytej szronem ziemi łatwo było ustalić cały przebieg wypadku. Po pewnym czasie, widocznie pod działaniem orzeźwiającego chłodu powierzchni ziemi, oprzytomniał i użył resztki odlatujących sił, aby ujść temu, który w przestępczem roztargnieniu strzelił do króla naszych łownych ptaków marnym śrutem kaczym. Nadciągnął pan Antoni z Semenem, posłano na smolarnię po jakąś pośledniejszego gatunku wyżlicę i, chociaż suczka omijała głębsze miejsca, szukano dość skrzętnie — jednak głuszec zginął z kretesem. Zalane wiosenną wodą bagno nie po-

zwoliło wydrzeć sobie zwłok i dochowało tajemnicy ostatnich chwil konania na jednej z licznych kępek śmiertelnie ugodzonego piewcy.

Byłem zmartwiony wielce i szczerze. Muszę przyznać, że wyjątkowo dogodne warunki terenowe, oraz łatwość i nieuciążliwość podchodów bynajmniej nie przyczyniały się do zaoszczędzenia mi nieraz przykrych wydarzeń.

Miałem sposobność przy podchodzeniu na „Berezowiczach" do jednego z trzech grających głuszców, mianowicie do najbliższego środkowego, trafić w suche złomy i z trzaskiem i hukiem zwalić się pod sosnę, na której grał głuszec. Wszystkie trzy zamilkły, jak nożem uciął. Słyszałem, jak odleciał lewy; za chwilę zerwał się prawy; ten zaś mój, najbliższy, po dłuższem milczeniu zaczął klapać; wyraźnie klapał i tylko klapał. Leżałem obolały i znękany, z przywartą do ziemi głową, której każde dość częste klapnięcie sprawiało ból, jakby od uderzeń małego, stalowego młoteczka. I leżałbym aż do utraty zmysłów, a głuszec klapałby po mej głowie bez końca, gdyby nie brutalne ręce, które pochwyciły znienacka moją nogę i... nie słodko zbawczy głos Arsenia: „Czohoż ce wy tut tak dowho łeżyte? taż win uże dawnym dawno połetiw". (Czegoż to pan tu tak długo leży? wszak on (głuszec) dawno już odleciał). Miałem niesamowitą przygodę ze ś. p. Semenem. Dął wściekły wiatr. Podchodziłem w uroczysku „Pidczeremiszje" głuszca. Cztery razy czule obejmowałem pień sosny, do której stale powracałem. Gdy tylko odchodziłem od niej naprzód pod wiatr — głuszec grał gdzieś daleko z tyłu, gdy się cofałem — grał na przodzie, gdy byłem pod sosną — nie słyszałem pieśni, lub w podmuchach wiatru jej oderwane dźwięki dolatywały coraz to z innej strony. Nareszcie Semen dopadł do zaczarowanej sosny i obruszył się na mnie: „ta czohoż wy bihajete w krużok hłuszcia, a ne strelajete? — taż win oś sydyt na ceji sosni nad waszoju gołowoju mow kopycia" (czegóż to pan biega wokoło głuszca, a nie strzela? — wszak oto on siedzi na tej sośnie nad pana głową, jak kopica). „Nie widzę" — zajęczałem. „Ne baczete? Dajte no mini, ja joho...". (Nie widzi pan? daj no pan mnie (fuzję) ja jego...). „Czyś oszalał?" — wrzasnąłem. Łup, łup, łup — zerwał się głuszec, rzeczywiście jak „kopica". „Nu teper to mabut' wże baczete". (No teraz to możliwe, że pan już widzi) — z wyrzutem zakończył djalog Semen. A z Bałajem? — z Bałajem parę razy podchodziłem do obsadzonego przez niego „nawerniaka" (napewno) głuszca, który „Boh joho znaje, z jakoji pryczyny deś szczez, a duże dobre hraw z weczera". (Bóg wie z jakiej przyczyny gdzieś znikł, a bardzo dobrze grał z wieczora).

Mieliśmy więc z p. Antonim na rozkładzie trzy smołodowieckie głuszce i... niestety, jedną jedyną słonkę (vide zdjęcie Nr. 1). Wziętych z krekuchami kilku kaczorów nie zaliczam do rozkładu, gdyż polowanie na nich było dorywcze i dodatkowo uzupełniające czas, przeznaczony, a nie zużyty w całości na tokach głuszcowych. Jakaś złośliwa dewena nieodłącznie towarzyszyła nam w wyprawach na słonki i to na najlepsze, ustalone od lat miejsca. W piękne, pogodne wieczory stawiliśmy na wypróbowanych stanowiskach w oczekiwaniu niezawodnych ciągów, słonki zaś, jakby na urągowisko, ciągnęły w rozstrzał po całym lesie, lub w miejscach najmniej do ciągów odpowiednich. Biedny Zawadzki, zawsze okazujący zadowolenie z dobrych wyników, oraz dbały o powodzenie, obecnie nachmurzony i markotny, klął pod nosem i narzekał na czasy, w których nawet słonka zmienia zawsze stałe „przywyczki" (przyzwyczajenia). Wszystko jednak na tym świecie ma swój początek i koniec; skończyły się i moje wywczasy — musiałem wracać do Warszawy. Wyjechałem ze Smołodówki przed wieczorem w asyście Zawadzkiego. Czasu miałem sporo, więc jechaliśmy do st. Maniewicze bez zbytniego pośpiechu drogą, wijącą się w licznych zagłębieniach, przecinającą tak dobrze mi znane uroczyska, kąpiącą się w licznych zagłębieniach, napełnionych obecnie obfitemi wiosennemi roztopami i gwarzyliśmy z Zawadzkim na temat aktualny — niepowo-



„...niestety, jedna jedyna słonka". Fot. gen. St. Skrzyński.

dzeń na ciągach. Zawadzki przypominał dawne lepsze czasy i przypuszczał, że wyrąb dużej połaci lasów pod rybne stawy w Smołodówce, przeważnie na mokradłach, gdzie lęgły się słonki, w dużej mierze przyczynił się nie tylko do zmiany miejsc ciągów, lecz do zmniejszenia się ilości słonek. Przyznając mu poniekąd słuszność, uzupełniałem, czerpiąc z krynicy wiedzy, niegdyś nabytej od Byndasa, że w mokrą wiosnę w zwykle suchych zaroślach pełno jest wilgoci, a więc słonka może ciągnąć gdzie chce, a nie gdzie musi i zawsze „potrzebną sobie drogę znajdzie", jednak najważniejszym czynnikiem dodatniego wyniku każdego polowania zawsze była i będzie odrobina szczęścia: „jak się poszczęści, to i na własnem podwórku niedźwiedzia ustrzelisz, a jak nie — to i z barłogu pod nosem ci ujdzie". Podjeżdżaliśmy do Petryckiego

brodu. Do stacji pozostawało tylko parę kilometrów drogi. Cudowny majowy wieczór, czarowność w oczach odradzającego się krajobrazu, tętniące niewidzialnem życiem łagodne, łechcące nozdrza swoistym zapachem wilgotnej, leśnej próchnicy i smolnych oparów powietrze, srebrna tafla brodu, z zachodniej strony stopniowo przechodząca w pas roztopionego agatu i kończąca się pod lasem matową hebanową okrajką, kumkanie i rechotanie żab, oraz gwizd kosów, szczebiot wieczorny sposobiących się do snu ptasząt i dolatujący z pobliskich wrzosowisk bełkot pojedynczego cietrzewia, wywołały nagłą decyzję: zamiast czekać na stacji poczekać piękne pół godzinki koło brodu, gdzie musi przeciągnąć jakaś słonka. Wyjąłem z futerału broń, dostałem z walizki garść nabojów, cofnąłem furmankę za zakręt drogi i zacząłem rozglądać się w celu obrania najdogodniejszego stanowiska. Upatrzyłem sobie dwie olchy, które rosły na samym skraju drogi przez bród na niewielkiej wyniosłości gruntu, obecnie otoczonej wodą. Kawał drewna, przyciągnięty przez Zawadzkiego i furmana Sawę, posłużył nam, jak kładka, do przedostania się na wybrane miejsce. Szkarłatna kula słońca skryła się do połowy za lasem, gdy razem z Zawadzkim stanąłem pod olchami wystrojony w uniform i w już zlekka podmoczone cienkie obuwie. W miękkich, pastelowych barwach zachodu tonęły turkusowy szmat firmamentu i pozłocone wierzchołki drzew. Błogość i słodycz sennych marzeń czaiły się w już niewidzialnych, ostatnich promieniach słońca i stały naokół kojące fluidy pieszczoty i spokoju. Milkły stopniowo ptasie głosy. Zespół żab koncertował zawzięcie. Harmonijne brzęczenie komarów zwiększało się zastraszająco. Przez bród, z pluskiem i hałaśliwą rozmową jadących, przeciągnęły trzy chłopskie wozy z powracającymi z miasteczka chałuzijskimi obywatelami i obywatelkami.

(D. c. n.) STANISŁAW SKRZYŃSKI

MÓJ PIERWSZY... WIELORYB.

Mógłbym w tem miejscu braciom myśliwym opowiedzieć niesłychaną przygodę z mórz północnych, jakie kilkakrotnie ostatniemi czasy przecinałem w różne strony. Że niby ja z harpunem na stanowisku, a on o zmierzchu na żerowisko wśród fal, a ja na niego gwizdek, a on słupka, a ja harpunem... Mógłbym opowiadać dramatyczne zdarzenie (czy poprostu zderzenie) z brzegów Skandynawji, o wymiarach conradowskiej iście noweli, albo z brzegów północnych Szkocji, Orkney'ów lub też Hebrydów — te wszystkie mijałem „na odległość strzału armatniego", — ale wolę odrazu prawdę. Nie miałem ani harpuna, ani nawet sztucera z lunetą i z pociskiem na sznurku, żeby było za co przyciągnąć potwora, kiedy zruluje na głębi, i nie ja wcale zdobyłem to trofeum, jakie niejeden z naszych bardziej łapczywych rekordzistów powiesiłby sobie chętnie na ścianie (około 60 metrów długości, po wypchaniu)

Było mianowicie tak: Wracałem z Ameryki na S. S. „Pułaskim", więc na polskim statku, który w swym rejsie przez północny Atlantyk często spotyka pływające wodotryski, wieloryby. Tym razem nie mieliśmy szczęścia. Poza mewami (jest ich sporo nawet na samym środku oceanu, o kilka tysięcy kilometrów od najbliższego lądu), nie spotykaliśmy poprostu żywej duszy.

I tak nam przeszło aż na Bałtyk. Któregoś rana, ciemno jeszcze było, obudziłem się nagle. Co to jest? — maszyny stanęły. Tak człowiek przywyka do nieustannego pulsu pomp, tłoków i śruby, że niechno na chwilę ucichną, rady sobie dać nie można.

Co to jest? — pytam nerwowo stewarda, pierwszego który mi się pod rękę nawinął.

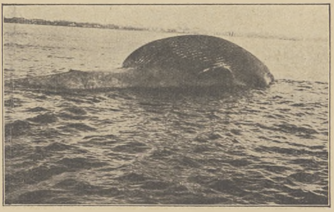
— Stoimy na redzie w Kopenhadze. — Więc zupełnie według programu.

A jednak... —

Jest jakaś sensacja na pokładzie.

Świt się właśnie pogodny rozbudza nad kopenhaskim portem, całym w zieleni, w błękicie i złocie, uśmiechniętym ku nam i zapraszającym.

W morzu, daleko, ciemny punkt, pobudzający uwagę. Pomimo wczesnej stosunkowo godziny, pokłady pełne już są pasażerów. Krążą od oczu do oczu lornetki, duże, morskie szkła, pożyczone od oficerów. Holownik jakiś ciągnie za sobą czarny, kulisty kształt. Już się budzą pogłoski, że to wieloryb. Ale inni z fachową obojętnością przeczą, twierdząc, że to poprostu boja, która zerwała się w czasie ostatniej burzy (mieliśmy jej doświadczenia za sobą, ośm dni!) i wypłynęła na pełne morze.



„A oto on..." Fot. Al. Janta-Połczyński.

Stawały niemal zakłady: wieloryb, czy boja? Urzędnicy portu, którzy tymczasem przybyli na nasz okręt, robili tajemnicze miny, zamiast odpowiedzi, sami pewno jeszcze dobrze nie wiedząc, co tam bogi przynoszą.

Wydało się dopiero, kiedy wódz nasz, kapitan Stankiewicz, ugodziwszy się z Duńczykami, którzy do „Pułaskiego" przybyli swoim holownikiem, holownik ten oddał nam, a raczej naszej ciekawości do dyspozycji, tak, że w parę minut pruliśmy już wodę w kierunku tajemniczego kształtu.

I był to wieloryb. Ciągnęli go, już martwego, do Kopenhagi i tylko łeb mu potworny wystawał z błę-

kitu wód. Całą resztą utopił się, — jak zauważył jeden z naszych pasażerów.

Oglądaliśmy go długo i dokładnie, każdy drobiazg wątpliwości budził, albo zdziwienie: — że pięknie karbowany, że wypukły, że taki, że owaki... A przedewszystkiem, że tak bardzo niespodziewany, bo i skąd w Kopenhadze wieloryb?...

Zanurzenie nie pozwoliło nam niestety objąć okiem olbrzymiego cielska tego ssaka, największego, jaki kiedykolwiek kulę ziemską zamieszkiwał. Widziałem podobny okaz w Muzeum Historji Przyrody w New Yorku, gdzie najpiękniejsze na świecie zbiory przyrodnicze w ogromnym gmachu się mieszczą. Jest coś przedpotopowego w jego rozmiarach.

A zauważyć trzeba, że już się zaczyna na alarm bić z powodu zbyt gwałtownego zmniejszania się ich liczby w morzach, gdzie nieustanne wyprawy wielorybnicze czyhają na nie, bogacąc się, tranową i inną specjalnością tego monstrualnego cielska.

Historja naszego wieloryba też jest aktem tego dramatu bezlitosnego tępienia, jaki rozgrywa się m. i. wokół skandynawskich wybrzeży. Tylko, że tutaj miał raczej charakter przypadkowy.

Burzą wyrzucony i zagnany w cieśniny Sundu, a może wskutek niedbałej nawigacji, dostał się na mieliznę i uwiązł na niej.

Spostrzegłszy to, okoliczni rybacy sprzysięgli się, żeby go dostać. Dwadzieścia godzin trwała straszna walka unieruchomionego częściowo potwora z zajadłym tłumem rybaków, którzy, nie mając odpowiednich przyborów, strzelali do niego, wbijali weń sztaby żelazne, aż woda wokoło rumieniła się, jak by ze wstydu, od jego gorącej krwi.

Ludzie raz jeszcze zapisali na swój rachunek tak bardzo typową i ulubioną orgję okrucieństwa.

Z zadowoleniem dowiedziałem się, że nie ujdzie to sprawcom bezkarnie. Władze duńskie pociągnęły ich wszystkich do odpowiedzialności sądowej, co oby dało w wyniku — im parę lat więzienia, a innym zbawienny przykład i pożytek.

ALEKSANDER JANTA-POŁCZYŃSKI.

POKAZ TROFEÓW ŁOWIECKICH WIELKOPOLSKIEGO ZWIĄZKU MYŚLIWYCH W POZNANIU W ROKU 1932.

W tym roku, jak i w roku zeszłym, urządził Wielkopolski Związek Myśliwych w dniach od 16 do 22 marca pokaz trofeów łowieckich, zdobytych w ciągu roku 1931 na terenie województwa poznańskiego.



Fot. 1. Fot. inż. Przybylski.

Licznie nadesłane eksponaty rozmieszczono w pięknie przystrojonych zielenią pokojach sekretarjatu Wielkopolskiego Związku Myśliwych w Poznaniu, przy ulicy Piekary 6.

Na otwarcie tegorocznego pokazu, którego dokonał w dniu 16-go marca p. prezes ppłk. rez. Chłapowski, pośpieszyli przedstawiciele prawie wszystkich miejscowych władz, senjorzy myśliwych wielkopolskich, oraz liczne grono członków i gości. Szczupły lokal z trudem tylko wszystkich gości zdołał pomieścić.

Obecny pokaz miał na celu zobrazowanie dorobku Wielkopolski na polu hodowli zwierzyny w ubiegłym sezonie łowieckim i był równocześnie przeglądem wstępnym dla ogólnego, wkrótce w Warszawie odbyć się mającego pokazu łowieckiego, który obejmie trofea ze wszystkich województw Polski.

Z uznaniem podkreślić należy, że tegoroczny pokaz trofeów w stosunku do pokazu w roku ubiegłym przedstawiał się znacznie korzystniej.

Przechodząc do szczegółowego omówienia wystawionych trofeów, nadmieniam, że ocena jakości poszczególnych wieńców jeleni, rosoch danieli i parostków rogaczy nastąpiła na podstawie wzorów Biegera, Lotzego i Wilda.

1. JELENIE.

Gdy parostki rogaczy, jakie oglądaliśmy na tegorocznym pokazie, musimy bezsprzecznie zaliczyć, jak na stosunki wielkopolskie, do klasy najwyższej, to o wieńcach jeleni, nadesłanych na wystawę, niestety, tego samego powiedzieć nie możemy. Ogółem wystawiono 14 wieńców. Wymiary premjowanych wieńców jeleni podajemy w niżej zamieszczonem zestawieniu.

Wieniec najlepszego co do punktów jelenia, ubitego przez p. Uhlego, przedstawia fot. 1. Trochę mniejszą ilość punktów wykazuje wieniec jelenia, ubitego 3.9. 31 r. w Myjomicach, przez p. Z. Niegolewskiego, uwidoczniony na fot. 2, lecz pod względem formy należy on bezsprzecznie do najpiękniejszych tegorocznego pokazu. Ppłk. rez. Chłapowski daje bardzo pouczającą kolekcję, składającą się z: wieńca starego, bo około 13 do 15 lat liczącego jelenia-wstecznika, o charakterystycznych dla starych byków możdżeniach, grub-

L. b.	Wystawca	Przeciętna długość w cm.		Obwód w cm.					Waga wieńca w kg.	Ilość odnóg	Punktów	Nagroda W. Z. M.
				róży przeciętnie	między odnogą oczną a średnią łodygi		między odnogą średnią a korzeniem łodygi					
		łodygi	odnogi ocznej		pr.	l.	pr.	l.				
1	Uble z Gorzewa . . .	87	32	22,5	16	16	14	14	4,5	13	163	Złoty m. I
2	Niegolewski Z. . . .	80	37	23	14,5	14,5	14	14	5,0	13	159	Złoty m. II
3	Inż. Martyniec z Obornik	85,5	31	23	13	13	12	12	4,5	11	152	Srebrny m. I
4	Niegolewski Z. . . .	79	28	21,5	13	13	12	12	5,0	13	151	Srebrny m. II
5	Inż. Martyniec z Obornik	87,5	32,5	20	13	13	13	12	3,7	10	144	Bronzowy m. I
6	Friske z Sokołowa Budz.	79,5	29,5	19	12	14	12	13	3,6	11	142	Bronzowy m. II
7	Maciejewski	74,5	29	22	14	12	11	11	4,5	11	137	Bronzowy m. III

szych od róż, dolnej szczęki tegoż jelenia o zupełnie startych zębach, oraz zrzutów z 3 lat ostatnich, świadczących, że jeleń ten nosił w latach poprzednich lepsze wieńce, a dopiero w roku ostatnim wskutek starości osadził wieniec gorszy.



Fot. 2. Fot. inż. Przybylski.

2. DANIELE.

Wielkopolska posiada w niektórych łowiskach zagrodzonych kapitalne daniele. Natomiast daniele, przebywające w wielkopolskich łowiskach nieopłotowanych, naogół nie odznaczają się zbyt pięknemi rosochami. To też na szczególne wyróżnienie zasługują rosochy kapitalnego daniela (fot. 3), ubitego w łowisku nieogrodzonem, przez p. dr. Wizego. Przytaczam tu ich wymiary. Waga wynosi 2, 4 kg.; przeciętna długość łodyg 73 cm.; długość odnóg ocznych przeciętnie 15, 25 cm; długość dłoni rosoch przec. 38 cm.; szerokość dłoni rosoch przec. 13 cm.; obwód róż przec. 17,5 cm.; obwody łodyg mierzone między odnogą oczną i średnią, oraz między odnogą średnią i dłonią po 10 cm. Rosochy te osiągnęły przy ocenie 159 punktów.

(D. n.). Inż. W. PRZYBYLSKI

ORYGINALNY SPOSÓB POLOWANIA NA CIETRZEWIE.

W znakomitej pracy Włodzimierza Korsaka p. t.: „Cietrzew", wydanej w r. 1925-ym, znajdujemy między innemi doświadczone opisy różnych rodzajów polowania na te ptaki, podane bardzo szczegółowo i obrazowo. Do tych opisów pragnę dodać jeszcze jeden, może nie tak „myśliwski", lecz nader oryginalny, w każdym razie zbliżony do właściwego podchodzenia i jednocześnie do polowania z łajką.

Wprawdzie rodzaj tego polowania nie był dotąd przezemnie wystudjowany, wszelako cytuję go z całem przekonaniem, na mocy usłyszanego świeżo opowiadania z wiarogodnych ust uczestnika takiego polowania, inż. Władysława Mackiewicza, byłego inspektora lasów państwowych okręgu łódzkiego.

Przed wojną europejską inż. M. był stabilizowany, jako zarządzający leśnictwem kadodzińskiem w powiecie kuźnieckim gub. saratowskiej. Już po skończonych tokach właściwych, często przechodząc przez młodniki, przyległe do lasu wysokopiennego, spędzał stamtąd wiele kogutów, które sadowiły się po spłoszeniu na skraju lasu, na wierzchołkach wysokich drzew. Idąc raz tą drogą w towarzystwie niejakiego Raguczowa, gajowego, został przezeń zagabnięty, czy nie zechciałby zapolować, choćby zaraz, na cietrzewie.

Na pytanie: — No, dobrze, ale jakże je teraz podchodzić w dzień? — usłyszał odpowiedź:

A użo poładim, pan lesniczyj — iditie priamo na łowo. (A już damy radę, panie leśniczy, proszę iść prosto, w tym kierunku).

To, co ujrzał następnie inż. M., było tak swoiście oryginalne, że staje się wartem opisu. Specjalista-

gajowy bowiem, zaraz po swej odpowiedzi, jął ściągać z pleców zwierzchnią bluzę, błyskając bielą rękawów od koszuli, lecz nie zdjąwszy jej całkowicie, wkładał na nowo, manipulację tę powtarzając wiele razy bez spoczynku, to znów dla odmiany zdejmował czapkę, unosił ją wysoko w górę i znów wkładał na głowę, aby następnie powrócić do zdejmowania bluzy i t. d., przyczem ręce jego ustawicznie były w żywym ruchu, zataczały łuki, kręgi, koła. Nogi naśladowały ruchy rąk, a cały tułów giął się i prężył bez ustanku.

Wszystko to wyczyniał Raguczow, nie schodząc z obranego miejsca, widoczny dla cietrzewia, który po spłoszeniu z młodnika siadł na wysokiem drzewie o paręset kroków odległem. R. nie ustawał w swej pracy ani na chwilę.

Inżynier M., mało kładąc wiary w to przedsięwzięcie, szedł w stronę siedzącego cietrzewia, oglądając się raz po raz na swego pomocnika i nie kryjąc się zbytnio, chociaż usiłował iść koniecznie jak najciszej. Podszedł wreszcie pod drzewo, obrane przez cietrzewia za punkt obserwacyjny, na odległość jakichś trzydziestu kroków, nie będąc przez ptaka ani na chwilę spostrzeżony i w rezultacie spokojnym strzałem z łatwością spuścił koguta na ziemię.

Kiedy, niosąc zdobycz w ręku, spotkał się z dążącym doń Raguczowem zauważył, że jego pomocnik jest literalnie oblany potem. Nic dziwnego: był to koniec maja, dziesięta rano, dwadzieścia kilka stopni R., pogoda słoneczna i bezwietrzna, a podchód trwał jednak około dziesięciu minut. A Raguczow rzetelnie, na rzęsisty pot, przez cały ten czas pracował.

Toteż przy następnym kogucie, który po spędzeniu siadł w zasięgu ich wzroku, prosił usilnie inż. M., aby szedł prosto, normalnie, nie skradając się i nie siląc na ciche stąpanie. I tym razem osiągnięto ten sam pomyślny rezultat, jednak, wobec skrócenia czasu podchodu, wykonywanego przez inż. M. już śmielej, Raguczow znacznie mniej się zmęczył i łypał tylko białemi zębami w uśmiechu zadowolenia, że: „nauczył, znaczyt, pana lesniczawo nowoj ochoty" (polowania).

Rzecz prosta, sposób ten, stosowany wówczas nierzadko, polega na zainteresowaniu ptaka niezrozumiałemi ruchami człowieka, który jednak nie grozi mu żadnem niebezpieczeństwem, trzymając się nader przyzwoitej odległości, natomiast koncentruje tak dalece uwagę cietrzewia, że nie spostrzega on ruchów idącego, nie słyszy nawet delikatnych hałasów, wywołanych pękniętą pod stopami gałązką suszu, lub chrzęstem rozchylonych krzaków.

W danym wypadku pomocnik-gimnastyk zastępuje przeznaczenie łajki z tą tylko różnicą, że musi swą pracę wykonać nie głosem, lecz ruchami i nie może zbliżać się do cietrzewia, gdyż człowieka, jako najniebezpieczniejszego wroga, nie dopuściłby on na bliższy dystans. Wszelako w jednym i w drugim wypadku myśliwy wyzyskuje — że się tak wyrażę — psychologję ptaka, który, pomimo całej ostrożności, jaka stanowi cechę jego samoobrony, dzięki swej ciekawości i zainteresowaniu czemś niezwykłem, a nie grożącem mu bezpośrednio, zostaje oszukany przedmiotem, na ciekawość i zdziwione zainteresowanie obliczonym.

W ten sposób inż. M. zastrzelił mimochodem sporo kogutów, nie wybierając się specjalnie na polowanie. I nie było wypadku, aby kiedykolwiek podchód mu się nie udał, aby którykolwiek ptak spostrzegł podstęp i właściwe niebezpieczeństwo w osobie podchodzącego z bronią w ręku myśliwego.

Oczywiście techniczna strona imprezy wymaga, aby „aktor" w osobie pomocnika odgrywał przed cietrzewiem „teatrum" możliwie całkiem odsłonięty dla ptaka i żeby teren był lesisty, zarosły, w którym myśliwy miałby naturalne osłony do swej dyspozycji, bez potrzeby wyszukiwania osłon i przejść od jednej do drugiej.

W kraju naszym cietrzewie zamieszkują prawie wszystkie okolice i przy umiejętnej ochronie łowisk mnożą się wybitnie szybko i licznie. Jedynym nieodzownym warunkiem jest spokój w osiedlach cietrzewich, one same bowiem nie są zbyt wymagające od swych miejsc lęgowych: wystarczy obecność lasów z domieszką brzóz, przestrzeni piaszczystych i błotnistych, względnie zarosłych łąk, — obok choćby nielicznych pól uprawnych.



Fot. 3. Fot. inż. Przybylski.

To też myśliwych, którzy mają sposobność polować na te piękne, wiosną zdobne w czarne, szafirowo-szmelcowane, jakby ze stali, pióra jest u nas bardzo wielu.

Może zaciekawieni tym opisem zechcą choć raz powtórzyć manewr Raguczowa, spryciarza z guberni saratowskiej, aby się przekonać o tem, jak dalece jest to sposób niezawodny do zdobycia pięknej liry cietrzewia.

WŁ. ZABIEŁŁO.



Z DZIAŁALNOŚCI MIĘDZYNARODOWEJ RADY ŁOWIECKIEJ.

Utworzona w listopadzie 1930 r., w Paryżu, Międzynarodowa Rada Łowiecka (Conseil International de Chasse), dzięki energji kierowników i współpracy członków, zyskuje coraz bardziej na znaczeniu. Słusznem jest przeto, aby działalności tej międzynarodowej placówki łowieckiej poświęcić należytą uwagę; to też w rubryce pod powyżej podanym tytułem będziemy zamieszczali perjodycznie krótkie wzmianki o poczynaniach Rady, jej uchwałach i sposobie ich wykonania.

Przedewszystkiem jednak przypomnijmy zadania, organizację i skład osobowy Rady.

Według brzmienia statutu, Międzynarodowa Rada Łowiecka stanowi organizację, mającą na celu rozwój wiedzy łowieckiej i obronę interesów myślistwa. W tym celu zamierza ona ustalić bezpośrednie stosunki pomiędzy myśliwymi wszystkich krajów;ześrodkować w Radzie możliwie wyczerpującą dokumentację z zakresu łowiectwa (ustawy, statuty, przepisy); zwracać uwagę czynników rządowych na sprawy, związane z łowiectwem, celem możliwego sharmonizowania ustaw, obowiązujących w państwach sąsiadujących; ogłaszać wydawnictwa, mające na celu oświetlenie zagadnień łowieckich ze stanowiska międzynarodowego i t. p.

Rada wybiera członków z pomiędzy osób rozmaitych narodowości, znanych ze swej działalności na polu łowiectwa, a więc: wyższych funkcjonarjuszy rządowych z zakresu łowiectwa, przedstawicieli dużych stowarzyszeń łowieckich, właścicieli wielkich łowisk, wybitnych myśliwych i strzelców, autorów dzieł z zakresu łowiectwa, redaktorów pism łowieckich itd.

Liczba członków nie może przekraczać 15 z jednego państwa, nie powinna być jednak mniejsza (stosownie do ostatniego komunikatu biura Rady), niż 4 osoby. Pierwszy skład Rady ustalony został w drodze wyboru przez Komitet organizacyjny, na podstawie kandydatur, wysuniętych przez organizacje łowieckie poszczególnych krajów; dalsze kandydatury powinny być zgłaszane do Rady na 3 miesiące przed kolejną sesją Rady — zwoływaną przynajmniej co 3 lata, — poparte przez 3 członków, w tem przynajmniej jednego z tego kraju, z którego pochodzi kandydat, i jednego z pomiędzy członków biura Rady.

W chwili obecnej Międzynarodowa Rada Łowiecka składa się ze 170 przedstawicieli 46 krajów wszystkich części świata. Zarząd spoczywa w rękach biura Rady, na którego czele stoi p. prezes M. Ducrocq (Francja) z 9 wiceprezesami — w tem ze strony polskiej J. hr. Bielski, — sekretarz generalny — hr. V. d Adix i skarbnik — p. Brochart.

Członkami Rady są pp.: ze strony rządu Polski — ambasador A. Chłapowski, a z ramienia polskich organizacyj łowieckich: hr. J. Bielski, K. Chłapowski, generał K. Fabrycy, prof. J. Gieysztor, J. hr. Potocki, M. hr. Potocki, dr. Zaborowski, A. Z. hr. Zamoyski.

Dotąd odbyły się dwie sesje Międzynarodowej Rady Łowieckiej—w listopadzie 1930 r. i w maju 1931 r., obie w Paryżu. Sprawozdania z ich przebiegu i uchwał podane zostały w Nr. Nr. 1 i 36 „Łowca Polskiego" z 1931 r. przez p. prez. J. hr. Bielskiego. Następną sesję na r. 1933 wyznaczono w Rumunji.

J. G.

W OBRONIE FOKSTERJERA GŁADKOWŁOSEGO.

Moda, a z nią i popyt na ostrowłose foksterjery z Anglji dostał się do Niemiec, skąd przeszedł głównie do Czech, Austrji i Węgier.

Praktyczni Czesi pierwsi otrząsnęli się z tej choroby, czego dowodem coraz częściej spotykana na łamach sportowych czasopism krytyka „kudłacza" i obrona starego, wypróbowanego typu foksa gładkiego.

Sądy o obu typach wydawane są pod kątem widzenia użyteczności łowieckiej i hodowlanej, — Czesi bowiem od dawna uważają foksa za psa myśliwskiego i pod tym względem stawiają mu coraz większe wymagania, jak np. aportowanie suche i wodne, oraz tropienie i naganianie.

Przytaczam tu wzmiankę jednego z najlepszych czeskich hodowców — V. Uher'a:

„W ostatnich czasach nader już rzadko spotykamy się na konkursowych norowaniach i wystawach z foksterjerem gładkowłosym, pod wpływem mody wypartym prawie zupełnie przez ostrowłosego krewniaka. Jest to dowodem, że przeważna część hodowców tej rasy psów nie chowa ich w celach sportowych, czy łowieckich, lecz dla zysku.

A właśnie gładkowłosy foks zasługuje na większe

zainteresowanie się nim naszych myśliwych, niż ostrowłosy, na którego strony ujemne, z punktu widzenia łowieckiej użyteczności, chcę zwrócić uwagę czytelników.

Przedewszystkiem kłopotliwe pielęgnowanie i przeszarpywanie sierści, bez czego np. wycenienie na wystawie takiego na dziko obrośniętego niedźwiadka jest bardzo trudne. Długa i pokręcona, niefryzowana sierść, kryje łatwo wiele wad i błędów budowy.

Myśliwy największą wagę przywiązuje do praktycznej użyteczności psa w polu, lesie, czy wodzie. Tu zaś niema dwóch zdań, że foks gładkowłosy — jest o wiele praktyczniejszy. Twierdzenie przeciwne postaram się obalić argumentami, zaczerpniętemi z mojej praktyki z obiema odmianami.

Używając ostrowłosego foksa do polowania z naganką w porze tajania śniegu, kiedy na sierści psa tworzą się lodowe, małe kuleczki, trzeba być przygotowanym na to, że takie kuleczki potworzą się na owłosieniu między palcami i mogą wywołać niebezpieczne zranienie kończyn. Zatem włosy między palcami należy starannie wystrzygać, lub wyrywać, bo i lepka glina też się na nich osadza, kalecząc łapki psa. Gładkowłosy foks natomiast obrażeniom tym nie podlega.

Podczas jesiennych naganek leśnych nazbiera ostrowłosy foks tyle kleszczy, ile ich spotka, podczas, gdy u gładkowłosego trafia się to bardzo rzadko.

Zaletami łowieckiemi foksterjer gładki góruje nad ostrowłosym dzięki pośpiesznej hodowli dla mody i zysku tego ostatniego, bez odpowiedniej selekcji.

Stąd też poszło, że między gładkowłosemi utrzymały się tylko pierwszorzędne linje chowne w rękach istotnych miłośników i specjalistów, którzy je potrafili utrzymać w doskonałej formie i jakości.

Zwróćmy teraz uwagę na charakter foksterjera. Przy pośpiesznej hodowli ostrowłosego przeważnie zapominano o jego charakterze i stąd pochodzi, że do chowu używano również psów nerwowych, co przy hodowli w pokrewieństwie jeszcze potęgowało tę wielką wadę. Hodowano przedewszystkiem szczenięta po psach, których celem istnienia była wystawa, i które pędząc życie wygodne i bezczynne, stopniowo zatracały cechy łowieckie. To też spotykamy coraz częściej osobniki, które nie interesują się zupełnie zwierzyną drapieżną, a nawet użyteczną.

Śledząc linje geologiczne foksterjerów gładkowłosych, dochodzimy do dwóch matek; mamy zatem dwa pnie, które drogą odpowiednich kombinacyj — mogą dać kilka gałęzi, podczas gdy pochodzenie ostrowłosego foksterjera sprowadza się do jednego praojca.

Cechy gładkowłosych foksów uległy z biegiem hodowli minimalnemu tylko spaczeniu, ponieważ tego materjału, który nie nadawał się do chowu, użyto właśnie do wyprowadzenia typu ostrowłosego. Dopiero w ostatnich czasach niezliczona masa hodowców stara się usilnie o naprawienie starych błędów.

Na podstawie więc wyżej przytoczonych argumentów, nie wierzę w zanik rasy gładkowłosego foksterjera, co więcej — jestem przekonany, że przedewszystkiem myśliwi, jako najwięcej zainteresowani, przywrócą mu dawną jego popularność".

WŁ. KARNKOWSKI.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

W ubiegłą niedzielę, dnia 17 b. m., odbyło się w Warszawie Nadzwyczajne Walne Zgromadzenie Stowarzyszeń Związkowych.

Przebieg obrad szerzej ujmie protokół Walnego Zgromadzenia, ograniczamy się przeto do krótkich wiadomości.

W obradach uczestniczyło zgórą 100 przedstawicieli, reprezentujących 65 Stowarzyszeń.

Zagaił obrady viceprezes Związku p. płk. K. Chłapowski, poczem na przewodniczącego przez aklamację zaproszono p. inż. L. Skulskiego.

Na Zgromadzeniu poruszono szereg spraw ważnych, dotyczących organizacji łowiectwa i łowieckiej polityki gospodarczej w Polsce.

Podkreślić tu należy z uznaniem, że obrady cechował podniosły nastrój, owiany głęboką troską o rozwój i przyszłość polskiego łowiectwa.

W uznaniu długoletniej i pełnej zasług działalności dotychczasowego prezesa Związku, p. Juljusza hr. Bielskiego, Walne Zgromadzenie jednomyślnie nadało p. prez. hr. Bielskiemu godność pierwszego członka honorowego Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich.

Dokonano również jednomyślnie wyborów uzupełniających do Zarządu Związku, którego obecny skład przedstawia się, jak następuje:

Prezes: *gen dyw. Kazimierz Sosnkowski.*

Viceprezesi: *płk. Konstanty Chłapowski,*
gen. dyw. Kazimierz Fabrycy,
Edward hr. ord. Krasiński,
Maurycy hr. Potocki,
Bolesław Świętorzecki,

Członkowie: *Józef Bleszyński,*
Marjan Chrzanowski,
mec. Walenty Gorczyński,
dyr. Bohdan Gędziorowski,
Wojciech hr. Gołuchowski,
Henryk Górski,
dyr. Jan Grabowski,
Witold Kiltynowicz,
inż. Herman Knothe,
Czesław Lisowski,
dr. Jan Łukowicz,
min. Czesław Michałowski,
Władysław Janta-Połczyński,
inż. Adam Romanowski,
inż. Leopold Skulski,
Józef Skrzypek,
Władysław Słonczyński,
dyr. Kazimierz Świderski,
Wacław Szperling,
inż. Kazimierz Tołłoczko,
Franciszek Unrug,
mec. Aleksander Tallen-Wilczewski,
dr. Józef Żenczykowski,
Jan Żukotyński.

W skład Komisji Rewizyjnej wchodzą pp.:
Antoni Fabjan,
inż. Gustaw Hantke,
dr. Ignacy Grymiński,
dyr. Jerzy Ścigalski,
dyr. Andrzej Śliwiński.



Od delegatów Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich na pow. Będzin, pp. L. Rudowskiego i K. Świderskiego, otrzymujemy notatkę treści następującej:

— Komitet Funduszu dla walki z kłusownictwem w powiecie Będzińskim, na posiedzeniu, odbytem w dniu 21 b. m., pod przewodnictwem zastępcy starosty, p. A. Izydorczyka, uchwalił przyznać nagrody za współdziałanie w zwalczaniu kłusownictwa:

Józefowi Olczykowi, gajowemu lasów państwowych — zł. 50.

Czerwińskiemu, gajowemu lasów państwowych — zł. 50.

Józefowi Barańskiemu, mieszkańcowi wsi Dąbie — zł. 50.

Włodzimierzowi Durajowi, mieszkańcowi wsi Gołonóg — zł. 50.

Antoniemu Dyszy, mieszkańcowi wsi Dziewki — zł. 50.

Janowi Dyszy, mieszkańcowi wsi Dziewki — zł. 50.

Witoldowi Habryka, mieszkańcowi m. Sosnowca — zł. 10.

Oprócz powyżej wymienionych sum, Komitet uchwalił wyasygnować zł. 500, do podziału pomiędzy wyróżniających się w zakresie tępienia kłusownictwa policjantów w powiecie będzińskim.

Ze względu na kryzys, Komitet postanowił nie uciekać się do ogólnego zebrania myśliwych powiatu — celem uchwalenia dotychczasowej składki na rok bieżący. Wobec jednakże korzyści, jakie dla dobra łowiectwa rozporządzanie tego rodzaju funduszem przynosi — Komitet zwraca się z apelem do pp. myśliwych, którym ofiarowanie tej kwoty większej różnicy nie czyni, ażeby zechcieli składkę nadal wpłacać na konto 113 w Komunalnej Kasie Oszczędności w Będzinie.

Suma składek, zebranych przez myśliwych powiatu w roku 1931, wynosi zgodnie z wyciągiem K. K. O. w Będzinie zł. 2.967.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— h. — W ubiegłym sezonie myśliwskim w lasach gościeradowskich, (ziemia lubelska), dzierżawionych od Warszawskiego Tow. Dobroczynności przez grono myśliwych z Warszawy, odbył się szereg polowań, na których zabito: 20 dzików, 17 rogaczy, 25 lisów i 170 zajęcy.

Rok ten był dziesiątym rokiem polowań w lasach gościeradowskich, w których przez okres 10 lat ogółem zabito: 83 dziki, 82 rogacze, 97 lisów, 1 wilka i 2090 zajęcy. Podczas pierwszych lat dzierżawy rezultaty polowań były skromne, lecz uregulowanie serwitutów, oraz gorliwa i umiejętna opieka miejscowej administracji znakomicie poprawiły zwierzostan.

— n. — W dniu 7 grudnia roku ub. odbyło się polowanie w Zawadzie u hr. Edwarda Raczyńskiego, w 9 strzelb. W jednej ławie polnej i paru pędzeniach leśnych w bażantarni zabito: 170 bażantów i 220 zajęcy.

W polowaniu brali udział: Ludwik Starowieyski, Andrzej hr. Potocki, radca Michał Mościcki, b. min. Miedziński, Józef ks. Jabłonowski, Jan hr. Tyszkiewicz, Władysław hr. Tyszkiewicz, Włodzimierz Borowski i gospodarz.

Najwięcej na rozkładzie (81 sztuk) miał J. ks. Jabłonowski. Polowanie doskonale prowadził i przygotował nadleśniczy, p. inż. Kemmer.

Redaktor: **Walenty Włodzimierz Garczyński.** Wydawca: **Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.**

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. **Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.**

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. **ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.**

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą a 5-ą pop. w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

WAŻNE DLA PP. PRENUMERATORÓW.

POSIADAMY jeszcze na składzie **niewielką ilość** numerów pojedyńczych **„Łowca Polskiego"** od początku roku bieżącego.

Pp. Prenumeratorom możemy w ciągu bieżącego miesiąca wysłać żądane numery pojedyńcze w cenie po 1 zł.

Nowoprzybywający Pp. Prenumeratorzy otrzymać mogą komplet numerów **„Łowca Polskiego"** za pierwsze półrocze r. b. w cenie zł. 25.

Posiadamy również **ograniczoną ilość** roczników **„Łowca Polskiego"** z lat 1927, 1928, 1929 i 1930, w cenie złotych 50 za kompletny rocznik.

Przy zamówieniach prosimy wyraźnie żądane numery wyszczególnić.

Za przesyłkę pocztową dodatkowych opłat nie doliczamy.

ADMINISTRACJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

OGŁOSZENIA DROBNE

Leśnik lat 32, trzeźwy i energiczny, z długoletnią praktyką zamiłowany myśliwy i znający się dobrze na gospodarce leśnej, oraz na hodowli bażantów. Pierwszorzędne świadectwa i referencje. Poszukuje posady od 1 maja 1932 r. lub później. Łaskawe zgłoszenia: Leon Piechota, gm. Rossoszyce, poczta Sieradz, woj. Łódzkie.

Szczenięta półroczne pointry angielskie po psie z rodowodem są do sprzedania. Cena przystępna. Wiadomość u Księdza Bronisława Waszula, Lubiel, poczta Długosiodło.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.